



## Maria Jasionowicz

część II z II

Sygnatura notacji: **N1272**  
Data urodzenia: **21.04.1930 r.**  
Data nagrania: **5.06.2018 r.**  
Miejsce nagrania: **Dom zgromadzenia siostr zakonnych, Paryż, Francja**  
Prowadząca/y rozmowę: **Arkadiusz Cisek**  
Czas nagrania: **część I: 49 min, część II: 63min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

<POCZĄTEK NAGRANIA 01:02:17>

Dwa-trzy zdania na temat tego pana wszarza, który tam...

Tak, tak. Więc historia była taka, że jak przyjechaliśmy tą rzeką Amu-darią i już nas wywozili gdzieś, nie wiadomo gdzie i po co, i właśnie nas wywieźli na puste miejsce i ulokowali w stajni. Obok mieszkali tubylcy, bardzo dziwny naród, taki bardzo dziki jeszcze, taki patrzący na nas ze złowrogą miną, ale także z ogromną ciekawością. Więc tam mieszkaliśmy i tam dorośli pracowali przy kopaniu rowów. Ktoś mówił, że to są okopy, że Stalin się przygotowuje na tę wojnę z Niemcami, i że te okopy będą potrzebne. I tam mamusia pracowała też i pomalutku wszystkich tych starszych brakowało - ten się nie zgłosił do pracy, to do bolni, do szpitala go wywieźli; następny się nie zgłosił, bo temperatura, leżał nieprzytomny, to znowu wywozili. I tak wszystkich wywieźli, mamę również, a mój brat poszedł z kimś, bo mówili, że są jakieś możliwości dotarcia do wojska polskiego, tam na południe, i że będzie należał do junaków, i on poszedł. Ja nie pamiętam, w jakich to okolicznościach, ale on poszedł to tych junaków, tak że jego już z nami nie było do czterdziestego ósmego roku, w Anglii go dopiero spotkaliśmy jako dojrzałego człowieka. Więc dlaczego my [mieszkaliśmy] w tej stajni? No bo nie wiedzieliśmy, co robić i nie wiedzieliśmy, jaki koniec, czy ci rodzice wrócą, bo nie tylko nasza mama, ale i inni, czy my do nich pojedziemy - nikt nam nic nie mówił. Myśmy nie wiedzieli, co się dzieje, co będzie z nami, co się stało z tymi osobami - nic o tym nie wiedzieliśmy. I wtedy właśnie ukazał się na gruntach ten właśnie pan, tak zwany wszarz, i on jakimś był takim świadkiem jakiegoś innego życia, świadectwem może armii - nie wiem, kto to był, nie wiemy, kto to był, nieraz mówiliśmy: „To święty Józef, to nie tylko wszarz, ale to na pewno był święty Józef, który tutaj przyszedł”. Utrzymywaliśmy się z makuchu takiego, który dostawały krowy - mój brat i chłopcy wkradali się pod druty i kradli bydło takie cegiełki tego wyciskanego słonecznika na olej i te moja

siostra podsmażała na łożpacie i to jedliśmy, żółdki mieliśmy rozstrajane potwornie, no i jakieś grzybki. Jeżeli to było lato, to zawsze były grzybki. Stajnia była, oczywiście była brudna słoma w stajni i wiechciem było zatkane okno, a jak padał deszcz, to nam na głowę, ciągle na głowę nam lał, więc jakieś talerze, jakieś miski się podkładało pod to [okno]. Mamusia zarabiała woreczek mąki jęczmiennej na tydzień i z tej mąki robiła nam zacierkę. Zawsze mówiła, jak była w domu, w stajni, żeby jeszcze spać, bo tak ciemno - nigdy nie wiedzieliśmy, czy tam jest słońce, czy nie, bo ciemno było, bo nie chciała, żebyśmy wstawali i byli głodni, więc jak już tę zacierkę ugotowała, to wtedy nas wyzwalała z naszych barłogów i wychodziliśmy na wolność, robiąc nic, bawiąc się, płacząc, szukając czegoś na polach. Nie pamiętam nawet, jak nam ten czas upływał, ale tragicznie upływał. A potem jak mama poszła do szpitala, no to już było naprawdę beznadziejnie - trzeba było i uprać, i trzeba było się zmienić w coś. Nic nie mieliśmy mydła żadnego, żadnego higienicznego dojścia do czegoś. To były warunki potworne, i znowu się zastanawiam: jak myśmy to przeżyli, jak myśmy mogli, nie myjąc się, nie ubierając się w czystą bieliznę?

Nie jedząc też.

Tak, tak. I jak myśmy to wszystko przeżyli? Jakie straszne były pluskwy, jakie okropne były wszy odzieżowe. One nas w nocy gryzły, myśmy nie mogli spać, oprócz tego we włosach. To było tragiczne i nie było czym tego wytępić czy jakoś zapobiec temu, tak.

I wtedy opatrzność boska...

Przysłała nam tego...

Na koniu.

Na koniu, tak.

Polskiego chyba żołnierza, tak?

Chyba żołnierza. Moja siostra mi mówi, Janina, że on miał mundur, ja mówię, ja nie pamiętam, żeby on miał mundur, bo gdyby miał mundur, tobyśmy z radości chyba poszaleli tam na tym bezludziu, ale ona twierdzi, że miał jakiś mundur, że jakąś odznakę wojskową miał. W każdym razie to był nasz wybawiciel, opatrzność boska nam go przysłała, bo inaczej to było niemożliwe. To było, po ludzku sądząc, to było niemożliwe, i dlatego ja jestem tak święcie przekonana, że cała ta historia: tego wygnania, tego straszego upodlenia doznanego przez nieprzyjaciół ludzkości, bo nie tylko nas, że to wszystko jednak Bóg z tego wydobył, to co chciał wydobyć i pozwolił nam przejść to, żeby śpiewać jego miłosierdzie, bo po ludzku sądząc, to nie można powiedzieć, co było przyczyną przetrwania. Tylko opatrzność boska. Ani jakaś pomoc zewnętrzna - pewno, że pomoc przyszła w postaci tego przesiedlenia na południe, ale kto tym kierował? Na pewno Bóg się nad nami litował i ta opatrzność boska nas prowadziła. W to święcie wierzę. To jest niemożliwe, żebyśmy przetrwali inaczej. Ten pan, który przyjechał do nas tak niespodziewanie, bo słyszał, żeśmy śpiewali „Stary niedźwiedź mocno śpi”, bo z radości, że będą placki, nie wiedzieliśmy już jak się zachować, więc

tańczyliśmy przy tej łopacie, na której ona piekła te placki. Ten pan się zjawił i pytał się: „Kto wy jesteście?”, a my [odpowiadamy]: „My”. Kto my jesteśmy - „my”, no to te „my” tańczyły przy tym piecu, a on mówi: „Kto się wami opiekuje?”, a myśmy pokazały na nią, ale ona była tak zajęta plackami, że się nie bardzo...

Przepraszam, że wejdem w słowo - siostry siostra, czyli Janina?

Janina, tak, ona. Więc dzieci wiedziały, że ona się opiekuje, no bo piekła te placki. W każdym razie ze znalezionej mąki pod słomą, bo to któreś dziecko, widocznie mama praktycznie, jakaś praktyczna albo przezorna, chciała schować na czarną godzinę, i schowała pod słomę i jakieś dziecko to wydobyło i my z tej mąki mieliśmy placki wtedy wieczorem. Więc jak on się zjawił i zapytał, kto się opiekuje, no to zawołał ją. Ona jakoś już skończyła tę swoją robotę i mówi: „Jutro rano musisz spakować swoje rzeczy i przyjedzie tutaj Uzbek i zabierze małe dzieci arba”. Ja myślałam, że to był wielbłąd, ale są sprzeczne wiadomości, że „Zawiezie was do pewnego miejsca, a wy pójdziecie piechotą” - nas było sześcioro chyba, ja między innymi, bo byłam starsza od tych malutkich dzieci, a tylko jedna arba. Arba to był taki wóz, taki ogromny pojemnik, ogromny i na dwóch dużych kołach i mułem ciągnięty, więc na tę arbę można było położyć nasze rzeczy, można było te toboły z tego naszego majątku tam zawinąć i pojechało, a my na piechotę. Ja, o ile pamiętam, miałam buty mojego brata i przez jakiś czas szłam w tych butach, bo rano o czwartej już przyjechał ten Uzbek, i Monika już z młodszymi dziećmi, nasza młodsza siostra pojechała, a my musieliśmy iść piechotą. To było, o ile pamiętam, czterdzieści kilometrów, więc myśmy od samego rana, było bardzo gorąco, szli tą drogą w nieznaną. Pytaliśmy się ludzi o jakiś kierunek, ja nie pamiętam, jaki to był kierunek, ale moja siostra pamiętała, i szliśmy w tym kierunku. W cygańskim jakimś obozie chcieliśmy się napić wody, to psa puszczone i tam nas potargał trochę, chociaż nie pogryzł. I tak szliśmy caluterki dzień bez wody, bez niczego. Jakim cudem, też nie wiem. Przecież to było po ludzku niemożliwe, ale szliśmy. Może jeszcze placki były z poprzedniego [dnia].

Z tej łopaty.

Tak, tak. Bo nie wiem jak. I wtedy właśnie opisuję w moich wspomnieniach tragiczną dla mnie scenę. Dla mnie to była tragiczna scena, może dla innych też, a mianowicie jak ten człowiek, który ma tratwę, odmówił, nie chciał nas przewieźć bez pieniędzy na drugą stronę, a trzeba było, bo kierunek tego obozu tych żołnierzy był za rzeką, więc trzeba było iść przez rzekę, bród, ale on nam wskazał najpiłtyszą drogę, więc poszliśmy tam [przez] najpiłtyszą część tej rzeki. Przyszliśmy nad tę rzekę, no to trzeba było iść. To było coś strasznego. Ja pamiętam, że jak ta woda mi sięgała troszeczkę wyżej, wyżej, wyżej, ja myślałam, że ja chyba zaraz utonę, ale jakoś opatrność boska nas przeprowadziła, niemniej jednak jak się znalazłam na drugim brzegu, zmarznięta, zziębnięta, bo ta woda, mimo upałów, była bardzo zimna, i stanęłam, i powiedziałam mojej siostrze, że ja chcę umrzeć, że ja już stąd nie pójdę absolutnie, ja tu już zostanę. Był taki duży kamień i ja pamiętam ten kamień - tak usiadłam na tym kamieniu i [mówię]: „Błagam, zostaw mnie tutaj. Ja tutaj zostanę, ja nie chcę, ja już nie chcę...” - nie wiem, czy powiedziałam, że nie chcę żyć, ale na pewno to znaczyło, że ja już nie chcę żyć, więc moja siostra zrozpaczona zaczęła mówić: „Chodź, już niedaleko. Monika tam pokazuje światełko, tam już jest Monika i ona płacze, że nas nie ma. To pobiegniemy, ja cię wezmę na plecy”. Ja mówię: „Nie, nie, nie” i tak uparcie trwałam, bo nie miałam zupełnie sił, ale w końcu chyba się zgodziłam. Może ona mnie wzięła na plecy, ja nic nie pamiętam. Pamiętam tylko jakiś bieg czy jakiś ruch, w ten sposób tak jakby mnie ktoś niósł, jakby

mnie ktoś prowadził, jakieś takie niesamowite odczucie tego kogoś i czegoś koło siebie. I tak przeszłam ten kawał jeszcze, to było kilka kilometrów. Moja siostra mnie niosła na ramionach swoich na pewno trochę, bo nie wiem, jak inaczej bym doszła. I jak się obudziłam, to byłam kompletnie już po dwóch dniach komy takiej, nieprzytomności i zupełnej utraty sił i pamięci, więc znowu tak myślę, jak Bóg mnie ustrzegł od śmierci wtedy tak, że jaka to była tragiczna dla mnie chwila, to przejście przez rzekę, że żadne z nas nie utonęło, że myśmy mogli to jakoś przebrnąć. To wszystko jest nie do pojęcia dzisiaj z perspektywy czasu, jak tak wspominam. A wspomnienia, właśnie chciałam powiedzieć, że wspomnienia to jest tradycja w ogóle Starego Testamentu i nawet historii, że wspomnienia są bardzo ważne i trzeba je zachowywać. Matka Najświętsza jest dowodem, że zachowywała dużo tych wspomnień w swoim sercu, więc trzeba nam wspomnienia zachowywać i myśleć o nich jak o dotyku bożym, który nas prowadzi niewidzialnie, bardzo nieraz mistycznie, bardzo trudno do pojęcia, ale nas prowadzi, i te wspomnienia muszą w nas otwierać coraz bardziej duszę na to, żeby teraz się nie martwić, dlatego jakbyśmy się martwili wtedy, no to i tak losy były zupełnie inne. My byśmy mogli myśleć ciągle: „Przepadniemy, przepadniemy. Nie ma nadziei na nas”, a tak nas Bóg wybawił, prawda? I to samo się dzieje dzisiaj, że trzeba Bogu zostawić ten kierunek światem, a my w pokorze podporządkować się jego woli świętej, bo tylko opatrzność, inaczej naprawdę nie mogłabym powiedzieć, wyzwoliła nas z tego wszystkiego.

Ta rzeka była dla siostry trochę jak Morze Czerwone.

Tak.

Przez to może pokonała, bo za tym Morzem Czerwonym był już obóz, tak?

Tak.

To był obóz już polskich żołnierzy?

Tak, tak.

Polskich żołnierzy generała Władysława Andersa.

Tak, tak.

I co dalej się działo, bo siostra wciąż była na tej nieludzkiej ziemi...

Tak.

...ale już bliżej tej nadziei wolności.

Już bliżej wyzwolenia. Więc tam byliśmy trochę na łasce żołnierzy, oni się dzieli swoimi porcjami z nami, ale pamiętam, że byli też żołnierze rosyjscy i dzieci głodne, bo myśmy kilka sucharków tam dostawali, ale oni też nie mieli ani mundu-

rów, ani nie mieli jeszcze wyżywienia odpowiedniego, więc dzielili się tym, co mogli. Ja pamiętam, kiedyś chodziliśmy do restauracji rosyjskiej, tam, gdzie Rosjanie jedli, i prosiliśmy, żeby nam dali te resztki, które zostawały na talerzach, albo żeby w ogóle nam coś dali do jedzenia. Czasami nam dawali. Pamiętam, że Monika raz otrzymała cały talerz jakiegoś tam czegoś, już nie wiem, i biegła z tym talerzem do mamy, do domu. Mama wtedy, ja myślę, że... nie, ona jeszcze do nas nie dołączyła - ona dołączyła już przed samym wyjazdem przez Morze Kaspijskie w Krasnowocku. Ona była w Krasnowocku, w jakimś szpitalu. Tam ją zawieźli, może żeby było bliżej już tego, bliżej granicy Persji, Iranu, i myśmy ją tam spotkali. Właśnie po tych przeżyciach z żołnierzami armii Andersa powieziono nas w stronę Morza Kaspijskiego i tam na brzegu można było trochę jeszcze zobaczyć rodziców, krewnych tam, bo tam były jakieś szpitale. I tam spotkaliśmy mamę. Była zupełnie nieprzytomna i Anders nie pozwalał dzieciom zostawać. On mówił i rozkazy wydawał, że dzieci muszą przejść pierwszym transportem do Iranu, dlatego że Stalin miał już zamiar wycofać to wszystko i dużo z takich właśnie możliwości nie miało miejsca, dlatego że Stalin zatrzymywał pociągi na różnych ślepych stacjach, tak jak my. Pamiętam, byłam w Samarkandzie i po tym jedziemy z tej Samarkandy, nie wiadomo gdzie, wagon odcepili, zostawili na ślepym torze i my tak siedzimy trzy dni na tym torze. Nic nie wiemy, gdzie pojedziemy, czy pojedziemy, nic nie ma do jedzenia i tak dalej, i tak dalej, więc on niby tę amnestię zachowywał, ale bardzo ograniczał i myłono ludzi co do kierunku, co do potrzeby i tak dalej, tak że to była tragiczna podróż tak samo. Ta podróż do Morza Kaspijskiego już po tak zwanej amnestii, ona była dla niektórych też bardzo tragiczna.

To jest chronologicznie koniec 1941, początek 1942 roku.

Tak.

Siostra znalazła się wreszcie na tym statku wolności, można powiedzieć.

Tak, tak.

Czy to był statek, którym płynęły tylko dzieci, takie jak siostra, czy to był jakiś transport wspólny, z żołnierzami, z dorosłymi?

Było dużo więcej, żołnierze byli na jakimś jednym poziomie. Myśmy, o ile pamiętam, z dziećmi byli na innym poziomie, ale byli i dorośli, bo ja pamiętam, że myśmy miały suchary od żołnierzy i moja siostra tak z nami siedziała w takim kątku tego okrętu i trzymała te suchary, i ona mówi, że jak zasnęła, to jej Żydzi - tam Żydzi też jechali - że Żydzi jej zabrali te suchary, że widocznie jakieś inne narodowości i ludzie dorośli, i żołnierze też jechali. To był ogromny okręt, ogromny, i tym okrętem jechaliśmy. Myśmy mieli straszliwe torsje. Dlaczego? Dlatego, że żołnierze dali nam zupełnie w takich puszkach i ta zupa była niegotowana, i myśmy to zjedli na puste żołądki i potem trochę ten okręt kołysał, a trochę z tego właśnie jedzenia takiego dla nas niedobrego mieliśmy okropne historie na statku, ale po wyjeździe, już po przyjeździe do Pachlewii i do pierwszego portu Iranu już było dobrze, już wyszliśmy na [ląd]. Wszyscy szaleli, a dzieci naśladowały starsze osoby, więc ludzie mówili: „Jesteśmy wolni”. Nigdy nie zapomnę takiej pani, która trzymała swojego męża, na piasku siedziała pod namiotem i wołała: „Jerzy - zdaje się - nie, nie umieraj. Jesteśmy wolni, wracamy do Polski. Jesteśmy wolni”, tak że to było dla nas wyzwolenie naprawdę, i za to wyzwolenie chyba

do końca życia każdy z nas, który został wyzwolony, dziękuje Bogu, bo to był cud, to był naprawdę cud. Więc tam się już zaczęło zupełnie inne życie.

Ten Iran był taką Ziemią Kanaan po tej niedoli...

Tak, tak, bo tam, nie wiem, chyba rząd polski w Londynie finansował nasze utrzymanie, tak że myśmy mieli w obozach wojskowych i śniadania, i obiady, i tam nie głodowaliśmy już wcale, i warunki higieniczne, były tak zwane łaźnie ogólne, wspólne, ogromne, tak że tam higiena była na wysokim poziomie. To już było odrodzenie fizyczno-moralne, powiedzmy, bo myśmy już nie myśleli tylko o jedzeniu, a inni nie myśleli, żeby coś ukraść gdzieś, prawda? Żeby coś mieć, to może komuś tam trzeba by coś ukraść, jak myśmy krowom wykradali rzeczy czy może i ludziom, już nie pamiętam. W każdym razie moralnie i fizycznie, a już duchowo to nawet nie trzeba mówić, żeśmy odżyli właśnie w Iranie, no i tam się zaczął drugi etap naszej...

Od Pachlewii, tak?

Od Pachlewii, tak. To był port, pierwszy port, i tam była pierwsza msza święta, odprawiana przez arcybiskupa Gawlina, o ile pamiętam. Nie miał żadnej alby, był w mundurze wojskowym i jako kielich miał taki kubeczek, nikłowy taki kubeczek, i to był jego kielich. I ludzie płakali rzewnymi łzami, jak zaczęła się msza i ludzie zaczęli śpiewać „Pod twą obronę” i tak dalej, tak że tam się zaczęło nowe nasze życie, wyzwolone, ale mama nie przyjechała, mamusia została i wiele dorosłych osób zostało. Po roku dopiero zobaczyliśmy naszą mamę, w czterdziestym trzecim roku, tak. Ona tam przyjechała już do Isfahanu, jak nas przydzielili do tych zakładów.

Siostra w swoich wspomnieniach pisze też o takiej sprawie, która jest z jednej strony tragiczna, aczkolwiek można też ją na różne sposoby czytać. Siostra pisze o tym, że wielu Polaków na ziemi irańskiej zmarło.

Tak.

Nie przeżyli tej nieludzkiej ziemi, tak można by to podsumować...

Tak, tak.

...natomiast przynajmniej zmarli w warunkach wolności.

Tak.

Udało im się przetrwać, aczkolwiek to fizyczne zniszczenie po nieludzkiej ziemi [niezrozumiałe 00:23:48].

Nie, nie dało, ale dużo też dzieci, bardzo dużo dzieci [zmarło]. Dzieci umierały z potwornego wyczerpania i z braku odpowiednich wartości, jeżeli chodzi o utrzymanie ciała, ale równocześnie też z łakomstwa, więc dzieci rzucały się

na jedzenie bez pamięci, dlatego że zawsze im go brakowało, więc oni pod koszulkę sobie tu kładli, do kieszonek, jeżeli mieli, żeby mieć trochę na potem, na potem, bo nie będzie, więc przejadali się i dużo dzieci umarło właśnie, że żołądki nie wytrzymały też. Tak mówiły nam wychowawczynie niektóre, bo była bardzo duża grupa z sierocińca, i ten sierociniec właśnie miał najwięcej dzieci, które umarły właśnie już w Pachlewii i tam duże cmentarze są, a następne w Teheranie.

Natomiast szczęśliwie znowu Bóg czuwał nad siostrą i siostrą Janiną, o której bardzo dużo też siostra pisze w swoich wspomnieniach i o osobie, która też was ratowała przed tym łakomstwem, mówiąc wprost, tak?

Tak, tak.

Dzięki temu udawało się uniknąć tragedii.

Tak.

W Iranie siostra przeszła w zasadzie cały szlak tułaczy, od tego portu Pachlewii, gdzie siostra trochę przebywała...

Tak, krótko.

...trochę też się już zaczęła siostra tam uczyć, tak?

Troszeczkę, ale bardzo mało. W Pachlewii bardzo mało, bo niedługo pojechaliśmy do Teheranu, a w Teheranie już były zorganizowane w barakach żołnierskich, pożołnierskich szkoły, klasy, i tam już chodziliśmy normalnie do szkoły się [uczyć]. Były podzielane klasy według wieku i tak dalej, tak że już zaczęło się takie normalniejsze życie dzieci. To było w Teheranie, w roku czterdzieści dwa do czterdzieści trzy, a potem pojechaliśmy do Isfahanu właśnie, i w Isfahanie był także. W Isfahanie to już było naprawdę zupełnie normalne [życie], powiedzmy, normalne w tym sensie, że internatowo zorganizowane życie dzieci - była pobudka, była łaźnia rano spartańska, trzeba było się myć w zimnej wodzie, potem była gimnastyka, potem było śpiewanie oczywiście i modlitwa poranna, potem było śniadanie, a potem szkoła, aż do pierwszej godziny, żeby nadrobić wszystkie braki, które mieliśmy, ogromne braki w naszym [wykształceniu]. Tak że Persja, naprawdę jesteśmy wdzięczni Persji. Ktoś mówi, że Persowie nas tak przyjęli, a my uchodźców nie chcemy przyjąć. To nieprawda, bo Persowie nie na takich warunkach nas przyjmowali. Oni nic nie wydawali na nas, oni nam - jeżeli chcieli - ale nas utrzymywał polski rząd w Londynie w porozumieniu z angielskim i z amerykańskim, nie wiem, jak to tam było, ale w każdym razie pieczę nad nami miał polski rząd w Londynie, i Persja może raczej nawet zyskała, niż straciła na nas. Tak mi się wydaje, tak. I w Persji było nam naprawdę dobrze, w Isfahanie, miastu polskich dzieci. Nie wiem, czy panowie znają tę książkę „Isfahan, miasto polskich dzieci”, tę grubą - tam jest wszystko opisane, jak wyglądało nasze życie, nasze starsze koleżanki to opisały. Ja wspominam Isfahan z wielką, z wielką miłością, no i tam mamę spotkałam. Mama tam przyjechała do Isfahanu, mama, która też cudem boskim jest wyzwolona z tej nieludzkiej ziemi, ale także z tych straszliwych chorób, ona bardzo chorowała, i że ona mogła jeszcze tyle przeżyć, jeszcze przyjechać do Anglii, założyć dom, opiekować się nami, wysłać nas do szkoły,

potem opiekować się Janiną, która chodziła na uniwersytet i tak dalej, ona to wszystko jednak jeszcze ciągnęła sama, ojca nie było w dalszym ciągu. Więc mam ogromną wdzięczność w sercu, ogromną za jej poświęcenie i oddanie się nam, tak. A Janina bardzo często zastępowała mamę, jakby tak czuła podświadomie, że ona jest bliższa krwią nam niż matka, ale myśmy ją bardzo szanowali i kochali.

Tam w Iranie także dowiedzieliście się w końcu, upewniliście się przede wszystkim, że brat Edward żyje.

Tak.

I co się z nim dzieje? Nie mieliście z nim kontaktu, ale byliście już pewni, że też przetrwał.

Przetrwał. To było w Libanie. Myśmy dostali wiadomość nie w Persji, w Isfahanie nic nie wiedzieliśmy. Dostaliśmy w Libanie, ja pamiętam, że jakiś wojskowy przyjechał do swojej rodziny do Zuku, do Libanu, gdzie myśmy mieszkali, i oznajmił nam, że Edward jest w szkole lotniczej koło Kairu gdzieś i że żyje, i że jest szczęśliwy. Potem korespondowaliśmy. On nawet chciał do Bejrutu przyjechać, bo to było blisko z Bliskiego Wschodu, ale zawsze były te wojny arabsko-żydowskie i bardzo było trudno przedostać się przez granicę, tak że ja go widziałam dopiero po demobilizacji polskiej armii w Londynie, on też był lotnikiem, i w Londynie go zobaczyłam po wielu, wielu latach, a tatusia jeszcze później, tatusia już...

Dopiero po dziewiętnastu.

Jako zakonnica, tak.

Te wszystkie miejsca, w których była siostra w Iranie, te wszystkie obozu, od Pachlewii do Isfahanu, były zarządzane, były kierowane przez struktury, które delegował generał Władysław Anders, tak?

Tak, tak.

Do tego, żeby zajmować się, prowadzić te obozy i zajmować się też wami, dziećmi, tak?

Tak, tak.

I tak było do samego końca, rozumiem, waszego pobytu w Iranie?

Tak, tak. A już w Isfahanie było trochę inaczej, w Isfahanie już każdy zakład tak zwany, każdy dom, gdzie były ulokowane dzieci z profesorami, z wychowawczyniami, z nauczycielami, mieli jakieś chyba inne instrukcje, już z Ministerstwa Oświaty, z Londynu, o ile wiem.

Czyli Isfahan był bardziej zorganizowany jako pewna struktura, już podzielona na takie placówki oświatowe bardziej,

edukacyjne, tak?

Tak, absolutnie, bo na przykład Pius XII wziął pod opiekę 200 polskich dzieci, 100 dziewcząt i 100 chłopców, i dzieci były u szarytek, i tam była moja siostra, a chłopcy byli u salezjanów czy u ojców może misjonarzy, u ojców misjonarzy, i Pius XII utrzymywał te dwie placówki finansowo, a myśmy dostawali zasiłki, bo ja pamiętam, w Libanie zwłaszcza, w Isfahanie też, ale w Isfahanie jako dzieci, mamy nie było, dzieci dostawały tak zwane pocket money i ten pocket money musiał nam wystarczyć na pastę do zębów i na takie inne rzeczy, to już mieliśmy, a rzeczy do ubrania dostawałyśmy z zarządu, panie wychowawczynie mierzyły nas - mundurki harcerskie, harcerstwo było bardzo rozwinięte - mundurki harcerskie, sukienki, świąteczne ubrania, wszystko szwalnie [szyły]. Były matki, które się ocaliły, i które były w Isfahanie, pomagały bardzo we wszystkich możliwych szczeblach tego naszego życia, i jeżeli chodzi o utrzymanie domu czy szycie, czy pranie, wszystkim się zajmowały prawie zawsze te matki ocalone.

Siostra pięknie też opisuje w swoich wspomnieniach, już pomimo tego, że tak organizacyjnie generał Władysław Anders może wami się już mniej zajmował, ale żyłście jego walkami.

Tak.

Pięknie siostra wspomina o tym, jak odebraliście zwycięstwo w bitwie o Monte Cassino.

Tak. Myśmy pisały jako dzieci do generała i do jego żołnierzy, do polskich żołnierzy na wojnie - ja miałam u mojej koleżanki jeden list i zapomniałam, gdzieś go włożyłam; ja swojego nie miałam, ja nie wiem, jakim cudem ona ten list miała - że myśmy żyli patriotyzmem. Naprawdę, dla nas Polska to było marzenie, to był nasz cel, nasz powód do życia jak gdyby. Ja wiem, że Polska, Bóg, honor i ojczyzna. Nasze wychowawczynie i my tak się zachowywaliśmy, jak powinien się zachować ambasador Polski za granicą. Nam do głowy kładziono: „Wy musicie reprezentować Polskę. Persowie inaczej o Polsce nie będą mówić, jak tylko o was. Wy jesteście żywym świadectwem”, i myśmy to bardzo głęboko przeżywali. Jak szliśmy ulicami w Persji na przykład do kościoła, bo tam nieraz porywali polskie dziewczęta Persowie, to trzymaliśmy się za rękę, ale nie wolno było kopać, szturchać i takich różnych rzeczy robić dziecinnych, bo oni będą, Persowie, patrzyli i powiedzą, że polskie dzieci są niewychowane, a my, polskie dzieci, są wychowane, tak że myśmy rośli w tej świadomości, żeby najpiękniejsze walory, najpiękniejsze właściwości naszych charakterów zatrzymać, i żeby je oddać Polsce, żeby Polska z nas cieszyła. I żołnierze odpisywali, moja siostra miała tę wielką łaskę, że z Kaczorowskim Ryszardem kontynuowała, pisała, napisała pierwszy list i on otrzymał ten list i potem odpisał, i korespondencja trwała prawie do śmierci jego. Ciągle przyjeżdżał do nas do domu, był wielkim przyjacielem rodziny, Ryszard Kaczorowski, były prezydent, tak że niektóre te małżeństwa powstały na skutek właśnie tych korespondencji, ale ja pamiętam, jak było Monte Cassino, to był szal radości, a wielki smutek, jak pod Gibraltarem zginął ten Sikorski, jak był ten katastrofalny wypadek tego samolotu, tak że myśmy żyli Polską i myśmy żyli dla Polski i naszym jedynym pragnieniem był powrót do Polski, nic więcej.

Tak. I po Monte Cassino przyszła Jafta, o której też gorzko siostra wspomina.

Tak, strasznie.

I ten tułaczy los też się nie skończył.

Nie.

Siostra znalazła się po wielu perypetiach, przejeżdżając przez... zresztą też siostra miło wspomina Irak, ówczesną Mezopotamię, jak taki Eden biblijny...

Fantastycznie, tak.

...i znalazła się siostra w Libanie, który skądinąd siostra też bardzo, bardzo dobrze wspomina jako też kraj i piękny, i też pięknych ludzi.

Tak.

Tak można chyba powiedzieć.

Ja muszę wyznać i powiedzieć, że to poszerzyło moje serce. Mówił kiedyś Jan Paweł II, że człowiek jest takim, jakie jest jego serce, że jak poznać, kim jest drugi człowiek: czy przez jego rozum, czy przez jego mądrość i przez jego talenty fizyczne czy inne - nie, o człowieku mówi jego serce, i dlatego ja uważam, że te wszystkie przeżycia, ja nie mówię, że ja wykorzystałam wszystkie te przeżycia, ale te przeżycia poszerzały moje serce, i dlatego ja się potem zdecydowałam być zakonnice, bo ja myślałam, że ja tego serca nie oddam jednej, czy drugiej, czy trzeciej osobie, czy tej - ja chcę być siostrą całego świata, i tak to serce mi się kształtowało, tam te małe kropelki wpadały i przekonanie moje było, że tyle dobrych ludzi jest, że tyle jest piękna na świecie, że tyle jest nadziei, bo na przykład jak byliśmy w Anglii, myśmy nic nie mieli, najpierw w obozach, jak przyjechaliśmy do Anglii, a potem trzeba było iść na swoje. Za co? Mamusia nie pracowała. Na początku w Anglii było nam szalenie trudno, ale była ta radość, że jednak będzie wolność, że już jesteśmy wyswobodzeni z tych kajdan rosyjskich i tak dalej, i jakoś to serce się przygotowało na to, żeby nie tylko brać, żeby nie tylko otrzymywać, ale żeby dawać, i otworzyło właśnie mnie oczy i serce na różnorodność ludzką, świata - to wszystko, i cierpienie, i radości, i to wszystko, to nie można pomieścić, bo w pismach żadnych to się nie da umieścić, co człowiek przeżywa przez takie etapy podróży, braków i dobroci ludzkiej i tego zawierzenia Bogu, że jednak on się nami od początku do końca zajmuje i to, że on w nas mieszka, on czuwa nad tym, co się z nami dzieje, choć my tego nie bardzo rozumiemy i nie wiemy. Kiedyś mnie się ktoś pytał, czy ja bym zamieniła moje życie na jakieś inne, czy to co przesłam, tę gehennę i to wszystko? Ja po zastanowieniu powiedziałam, że nie. Że nie, dlatego że tutaj tą drogą to była Kalwaria i to była droga na górę Synaj i na różne inne góry przemienienia, to były etapy wyznaczone przez Boga, i one doprowadziły mnie do tego, że ja się zdecydowałam właśnie oddać to życie z powrotem Jemu, bo ja tyle otrzymałam przez Jego ręce, ale i przez ludzkie ręce, którymi On kierował, darów i wyjątkowych takich cudownych dotknięć, że za to wieczność się nie da wypłacić i tak dalej, tak że mnie się wydaje, że nie można cofać tego, co się przeżyło. Trzeba patrzeć na to wzrokiem Boga, w takim zdumieniu i w takim jakimś

zdziwieniu, że to wszystko można przeżyć i to się przeżyło nie dzięki naszej zasłudze albo jakiejś mocy, tylko dzięki naprawdę miłosiernej opatrności bożej. Tak w to święcie wierzę.

Już w dojrzałym życiu zakonnym siostra, można powiedzieć, w jakimś sensie podzieliła się też ze światem w 2000 roku, współuczestnicząc w przygotowaniach beatyfikacji sióstr męczenniczek z Nowogródka.

Tak, tak.

Siostra pięknie mówiła o tej Kalwarii, o jej pokazywaniu, też niejako przywracaniu. Siostra to robi, dzieląc się swoimi wspomnieniami, ale to też jest przykład tej beatyfikacji, w której siostra uczestniczyła, gdy siostra też wydobywa i przywraca, pokazuje przykład zupełnie niezwykły, a może mniej znany: to jest przykład sióstr męczenniczek z Nowogródka. To jest historia może już teraz troszkę lepiej znana, chociaż jeszcze nie tak zupełnie, historia dotknięta zupełnie niezwykłym charyzmatem, charyzmatem głównie wiary, ale też i polskości.

Tak.

Czy mogłaby siostra kilka słów powiedzieć o tych tragicznych wydarzeniach związanych z tym męczeństwem, ale też tym, co przykład tych sióstr niesie nam dzisiaj.

Tak, tak. Więc nasze siostry tam różnymi drogami dostały się do Nowogródka, bo chodziło o to, żeby jednak obecność zakonnicy i kościoła na tych rubieżach była, i to było w dwudziestym ósmym roku. Zapomniałam, jak się nazywał ten biskup w tej chwili, że prosił przełożoną generalną matkę Lubowicką z Rzymu, żeby koniecznie wysłała tam siostry, które by uczyły Polaków, bo jeszcze dużo było Polaków w Nowogródku, chociaż już Białorusini i Ukraińcy już się tam osiedlali bardzo, żeby siostry tam zakładały szkoły, internaty i tak dalej, i siostry się zgodziły. Ludzie byli bardzo przeciwni, siostry przeszły męczeństwo swojego rodzaju, bo ciągle były jakieś przeszkody, nie chciano im wynająć mieszkania i tak dalej, i tak dalej. Wreszcie jakoś się tam już zadomowiły i biskup powiedział: „Nie wolno z tego domu wychodzić. Ten dom przyniesie Polsce wielkie łaski” - coś takiego, w tym sensie, i przełożona generalna to potwierdziła, i siostry zostały. W trzydziestym dziewiątym roku było różnie, bo niektóre pojechały do Wilna, w Wilnie miałyśmy ogromny dom. Tam było bardzo niebezpiecznie w Nowogródku, ale w końcu w roku czterdziestym trzecim było to ogromne spustoszenie, które wojska rosyjskie zdziały i niemieckie - biły się między sobą, ale chodziło o Polskę, więc siostry wiedziały i to doszło do nich, że stu ojców rodzin i braci zostało w więzieniach uwięzionych i prawdopodobnie skazanych na śmierć, i te siostry - było ich jedenaście - dwunasta była, ale ona z nimi nie poszła na tę gehennę, że tych jedenaście sióstr ustaliło, że jeżeli potrzebna jest ofiara z życia, żeby ratować tych ojców rodzin i tych braci czy krewnych mężczyzn, to one są gotowe oddać życie. I tutaj myśmy jako zgromadzenie, ja się zajmowałam tą beatyfikacją bardzo dużo, bo w czasie mojej funkcji w generalacie byłam właśnie odpowiedzialna za zgromadzenie i za beatyfikację. Więc one kilka razy, i księdza też szukano, księdza Zienkiewicza, i te siostry nasze zawołano któregoś dnia, 31 lipca czterdziestego trzeciego roku do chyba zarządu miejscowego, do komisariatu.

Niemieckiego?

Tak, tak, o tak. I siostry poszły, poszły do komisariatu koło siódmej godziny, po benedykcji. Siostra Stena jeszcze mówiła do księdza: „Proszę księdza, idziemy, ale proszę się nie martwić, bo my tylko idziemy do komisariatu. Może nas wywiozą na prace do Niemiec, nie wiadomo, co będą z nami robić”, i poszły, i już nigdy nie wróciły. Poszły wieczorem i wywieziono je od razu po jakiejś tam godzinie jakichś pytań i męczarni, z tego wywieziono je do lasu, i w lesie już była mogiła, i miano je rozstrzelać, ale były bardzo duże jakieś ruchy, tam ludzie chodzili, dużo aut jeździło, więc myślaro, że to jest za bardzo widoczne, ta egzekucja, więc zabrano siostry z powrotem do tego komisariatu, i one całą noc przeleżały w komisariacie wszystkie. I jeden strażnik komisariatu potem nam mówił, że one się całą noc modliły i dał nam krzyż, który one ze sobą wzięły, jak szły do komisariatu, przy którym się modliły podczas tej tragicznej nocy. I rano o piątej godzinie albo jeszcze przed tym wywieziono je ciężarówką do lasu i tam je rozstrzelano, a jeszcze siostra kilkakrotnie mówiła: „Jeżeli potrzebna jest ofiara z życia, to od nas przyjmij ją, Panie”. Ja byłam na pięćdziesięciolecie tej uroczystości, ich męczeństwa. To było coś pięknego, bo ten ksiądz Zienkiewicz, którego one też wyzwoliły swoją modlitwą i ofiarą, i ci panowie wszyscy wyszli bez uszkodzenia z tego więzienia, więc ta ofiara została przyjęta. I ksiądz Zienkiewicz właśnie w tym lesie, tam one długo w lesie leżały, ale potem wydobyto je w procesji z tego lasu i przywieziono koło fary nowogródzkiej, tam był początkowo ich grób taki skomasowany, we wszystkich malutkich trumienkach. I on przed mszą świętą zaczął mówić: „Normalnie kapłan, jak zaczyna mszę świętą, to całuje ołtarz, a ja dzisiaj, wyzwolony dzięki waszym siostram całuję tę ziemię, dlatego że to jest ołtarz - to jest ołtarz ofiarny, gdzie one złożyły swoją ofiarę”, i bardzo była piękna uroczystość. Beatyfikacja męczenniczek to był jeden cudowny hymn radości, mimo że one oddały swoje życie. Żadna z nich nie wołała: „Ja nie chcę już nad grobem otwartym”, żadna z nich w tym komisariacie nie płakała, nie skarżyła się - one oddały to swoje życie, bo charyzmatem w zgromadzeniu jest jednak troska i miłość do rodziny i do tego cudownego węzła, jakim łączy rodzina z państwem, z kościołem i tak dalej. Więc on na tej beatyfikacji, a potem na placu Św. Piotra ojciec święty Jan Paweł II przepięknie właśnie mówił, że tak się wypowiada miłość, że nie ma większej miłości niż dać życie za swoich braci, więc te siostry nam poświadczyły, że gotowe są na taką miłość i zdały egzamin z takiej miłości. Najlepsza to była historia naszej siostry Kanuty, która miała wychodzić za mąż i była już trzecia zapowiedź jej ślubu, i w nocy jej się śni: „Ty nie wyjdiesz za mąż za Stacha, ja tobie dam biało-czerwoną sukienkę”, i ona tak się przejęła tym snem, że jak się obudziła, poszła do mamy i powiedziała o tym, i w końcu skasowano te zapowiedzi i ślub, i ona poszła do Częstochowy, i powiedziała, że bardzo się modliła do Matki Bożej, czy to ona chce, żeby ona była zakonnica, bo chyba po to Pan Jezus jej się tak przyśnił i widocznie Matka Boska widocznie wewnątrz niej to powiedziała, i ona wstąpiła [do zakonu], mówiła tak: „Którekolwiek zakonnice będą wychodzić pierwsze z kościoła, to ja pójdę za nimi i do nich wstąpię”, i to były nasze siostry. I tak ona się znalazła, ta Kanuta, ale piękny był właśnie dalszy ciąg. Ona miała nowicjat w Grodnie i mówi zawsze do sióstr: „Białą sukienkę to już mam, a gdzie czerwona?”, więc tę czerwoną sukienkę otrzymała wtedy, jak strzelano do nich, to nie wszystkie były zabite, więc ona widocznie nie była do końca zamordowana, dlatego że kłęzczała - ona w postaci kłęczącej, i tu miała na sobie całe strugi zaschniętej krwi. To była jej czerwona sukienka, tak. To siostra Kanuta, i tyle pięknych historii o nich się pisze. Więc beatyfikacja, ludzi było bardzo dużo na beatyfikacji i oni brali nasze szaliki i obrazki sióstr męczenniczek, bo powiedzieli, że to przykład niesłychany, żeby jedenaście sióstr się zgodziło, wszystkie jak jeden, dwanaście, tylko że ta dwunasta była pielęgniarką w szpitalu i nie było jej, podczas gdy kazano im się zgłosić do komisariatu. Ona została i jest kandydatką na ołtarze też, bo ona została w Farze Nowogródzkiej, pilnowała Najświętszego Sakramentu, broniła ludzi, śpiewała w niedziele, otwierała kościół, żeby

przychodzili się modlić. Zasłużyła się ogromnie ta dwunasta - nie czerwona męczenniczka, ale biała męczenniczka, właśnie w Nowogrodku.

Tak, piękna historia Kalwarii, kolejnej Kalwarii z polskich Kresów.

Tak, tak. W Libanie ja ciągle słyszałam wtedy jakieś takie dzwonki, jakieś takie odgłosy, modlitwy i tak dalej, i ciągle mnie się wydawało, że w tych klasztorach, tam bardzo dużo w Libanie klasztorów było na takich górceczkach w Zuku, i ja sobie myślę: co one tam robią, dlaczego one tak nie pokazują się? I tak dalej, i tak dalej. I w końcu przeżywałam kilka razy, i to mnie naprowadziło na życie zakonne. Wydawało mi się, że to wszystko jest takie marne, na przykład miałam imieniny i dziewczyny przychodziły, bukiety oleandrów i takie piękne, i była jakaś muzyka, stary patefon, tak jak to można było wtedy mieć, i ciastka, i tak dalej. Potem dziewczyny poszły, kwiaty zwiędły, patefon nie grał i wszystko takie normalne. I to była moja radość, ja w tym znajdowałam radość i tak jakby trochę tego szczęścia. Uważałam, że to nie tędy droga, że to nie może zostać, i ciągle mi się wydawało, najlepsze to było, bo ja występowałam w teatrze kiedyś, w angielskim już, i śpiewałam, solo śpiewałam, i to solo było [oklaskiwane] - i bis, i bis, i jak było bis, to ja pofałszowałam. I jak już wracałam do domu, w autobusie dziewczyna mówi: „Co tobie się stało, dlaczego ty to zrobiłaś?”. „Ja nie wiem, Magas, profesor, podawał mi tony, a ja coś innego śpiewałam”, i ja wtedy przeżyłam drugą taką emocję innego rodzaju, a mianowicie w tym teatrze wydawało mi się, że tam są same szpileczki, takie szpilki, główekzki szpileczek. Ja sobie [myślę]: co ja tu robię, tu te szpileczki wszystkie, a ja tu coś im śpiewam. Ja nie mogłam pojąć, co to było. I jak wracałam, usiadłam na końcu autobusu, żeby dziewczyny do mnie już nic nie mówiły, bo się wstydziłam oczywiście i patrzyłam na niebo. Było dużo gwiazd, było dużo takich pięknych. Ja sobie myślę: Boże, to to jest właśnie, to jest wieczne, a to wszystko to już przebrzmiało, czy dobrze śpiewałam, czy źle, i to mnie naprowadzało właśnie na życie zakonne, żeby poświęcić swoje życie czemuś, co jest stałe, co jest istotne, co ma sens, co jest zakotwiczone w Bogu. I tak też chyba zrobiłam. I wstąpiłam w Anglii do klasztoru, dziesięć dni po Janiny ślubie, i formację, tak zwaną zakonną formację miałam w Rzymie, bo Anglia nie miała domu formacyjnego dla sióstr. Przeżyłam dwa lata nowicjatów pod Rzymem, tam miałam bardzo dużo możliwości obcowania z innymi zakonnkami, Włoszkami, Amerykankami, Irlandkami, bo też były formacje, i tam się przygotowałam do pierwszych ślubów, a potem do wieczystych ślubów. Tam też chodziłam na Uniwersytet Gregoriański w Rzymie i studiowałam. Później jak złożyłam wieczyste śluby, byłam wyznaczona jako wicemistrzyni, wicedyrektorka formacji młodych sióstr, więc prowadziłam najpierw jako wice, a potem jako mistrzyni nowicjatu przez kilka lat. Później wylądowałam na kapitule generalnej jako radna generalna, zostałam wybrana na radną generalną i jeździłam dużo z przełożoną generalną Medardą, matką Synakowską z Filadelfii po świecie, bo mamy dużo domów rozsianych po świecie, tak że poznałam zgromadzenia. Byłam i w Australii, i na Filipinach, założyłam dom później i potem w Ameryce Północnej, Południowej i tak dalej. Objeździłam to wszystko z tą przełożoną i dlatego to mi otwierało ciągle oczy na potrzeby ludzkie, na ludzkie odczucia, na ludzkie reakcje, na to, kim jest człowiek, coż to za fantastyczna jest [istota], jak objawienie boże zamknęło się w tym człowieczeństwie ludzkim także, i tak dalej. To wszystko bardzo przeżywałam. A później byłam przełożoną tutaj w tym domu przez kilka lat, przez dziewięć lat. Po tym była następna kapituła i zostałam wybrana na przełożoną generalną tego całego naszego zgromadzenia i wtedy miałam możliwość właśnie starać się o beatyfikację naszych sióstr, otworzyć misję na Filipinach - zwiedzałam kilka razy - odwiedzać wszystkie domy w zgromadzeniach i tak się cieszyć tym bogactwem duchowym naszego charyzmatu i naszej duchowości włożonej w nasze zgromadzenie przez

Franciszkę Siedliską błogosławioną. To tak by wyglądało krótkie moje życie.

Bardzo serdecznie siostrze dziękujemy. Można powiedzieć, że życie siostry jest pełne znaków, ale czymś niezwykłym - dla mnie przynajmniej - a może zwykłym, jest to, że na samym początku jest ta niezwykła nazwa miejscowości, w której siostra się urodziła: Jezupol. To jest coś niezwykłego. Serdecznie jeszcze raz dziękujemy, wszelkich łask bożych życzymy i z Bogiem.

Dziękuję, dziękuję. A ja dziękuję panom, że się interesują tymi śladami, które zostały w przeszłości zostawione przez ludzi, którzy dla was zostawiali to wszystko. Moje serce nigdy nie chciało się zamknąć do tego, że się skończyło, tylko żeby to komuś dać, żeby tym się z kimś podzielić. Wszelkie wartości, te dobre zwłaszcza, żeby ludzi ogarnąć, żeby się nigdy przy mnie nie czuł upokorzony, mniejszy, żeby zawsze wyprowadzać tego człowieka do radości, do słońca - swoją postugą, swoją ofiarą, swoją miłością i swoją modlitwą głównie, tak że ja panom ofiaruję moją modlitwę bardzo gorąco.

Serdecznie dziękujemy.

I dziękuję bardzo za zainteresowanie tym wszystkim, i ja myślę, że to będzie moja ostatnia wypowiedź, dlatego że ja już jestem starsza jednak i zapominam.

W to akurat nie wierzymy.

I zapominam, i dużo rzeczy ucieka mi z pamięci, i sposób opowiadania już mi się nie klei. Jak byłam w Chicago i był Związek Sybiraków, zaprosił mnie na konferencję w dziewięćdziesiątym piątym roku, 1995, i tam było chyba w wielkim hotelu zebranie i tam wszyscy chcieli słyszeć historię - historię wygnania i potem dalszych losów moich, więc ci ludzie byli głodni, żeby im powiedzieć. To byli Sybiracy i nie Sybiracy - jedni chcieli wiedzieć, a drudzy chcieli usłyszeć, jak ja to przypominam. To było przepiękne spotkanie i dano mi medal, i tam jeszcze coś innego, ale potem jeden pan przyniósł flagę polską, żeby ją pocałować, że oni tę flagę tam powieszą. Ja tę flagę łzami pokropiłam, bo sobie pomyślałam: Boże, jakie to przeżycie. Ja w Chicago, tutaj z tymi ludźmi, z takimi zasłużonymi - tam było wiele eks oficerów wojskowych i tak dalej - i mówiłam, że „Jak całuję tę flagę teraz tu wobec was, to całuję za tych wszystkich, którzy tam zostali, którzy już nigdy nie ucałują polskiej flagi, którzy już [jej] nigdy nie zobaczą, bo przykuły ich groby do ziemi obcej, do ziemi nieludzkiej”, i to było przeżycie, muszę powiedzieć, że przeżycie z tymi Polakami w Chicago, oni byli bardzo chłonni i chcieli wszystko wiedzieć, i potem moje wspomnienia żeby im podpisać i tak dalej, że jednak potrzebne jest to do obudzania wrażliwości w sercach, prawda? Żeby obudzić wrażliwość rzeczy, które tam są. One nieraz śpią i trzeba takiego dotyku, takiej miłości albo takiego jakiegoś wydarzenia, żeby to wszystko obudzić i przekazać.

Tak, bo żaden film nawet, żadna książka tego nie powie, co powie człowiek.

Tak, tak.

Dziękujemy jeszcze raz siostrze.

Bardzo proszę.

<KONIEC NAGRANIA 01:02:17>